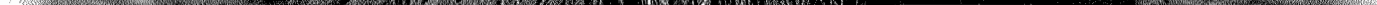


Zwalić

na bobra



Konflikt między obrońcami wałów i obrońcami środowiska przy okazji powodzi zamienił się w otwartą wojnę.

JAGIENKA WILCZAK

Najpierw ekolodzy. Władze gminy Oświęcim oskarżyły ekspertów Towarzystwa na rzecz Ziemi, że blokując budowę urządzeń hydrotechnicznych, doprowadzili do zalania wielu hektarów gruntów, także obozu w Brzezince. Potem fala dotarła do Warszawy: prezydent Hanna Gronkiewicz-Waltz stwierdziła, że protesty ekologów wstrzymują remont wałów, zwłaszcza Wału Zawadowskiego w Wilanowie. Dlatego inwestycja jest od ośmiu lat na etapie przygotowania dokumentacji. Kiedy woda zagrażała warszawskiej Pradze, a później napierała na tamę we Włocławku, winni byli obrońcy ptaków.

– *Polska jest skansenem hydrotechnicznym* – mówi Robert Wawręty, ekspert organizacji ekologicznej TnrZ i powołuje się na raport o środowiskowych skutkach przedsięwzięć hydrotechnicznych współfinansowanych ze środków UE, opracowany przez organizację w 2007 r.

Raport pokazuje absurd, ignorancję i lekceważenie trendów światowych, gdzie od dawna wiadomo, że wały to technokratyczny mit. Jego egzemplifikacją może być

to, co stało się w Czechowicach-Dziedzicach, gdzie najczęściej szkód wyrządziły rzeki wyprostowane jak drut, z obwałowaniami, Iłownica i Wapiennica. W ciągu ostatnich lat wydano tam kilka milionów złotych na podnoszenie wałów, w zlewni Iłownicy nawet te najmniejsze rzeki są uregulowane. A woda wylała, natura okazała się nieposłuszna. Bo projektant nie pomyślał, żeby odsunąć wały od rzek.

– *Za publiczne pieniądze zniszczono setki kilometrów rzek, 385 mln euro przyznane nam z Europejskiego Banku Inwestycyjnego po poprzedniej powodzi wydano w większości na regulowanie rzek, które zamiast chronić – szkodzi. Dziś za unijne pieniądze robi się to samo* – wylicza dr Przemysław Nawrocki z WWF Polska.

To wyjaśnia podłoże konfliktu: hydrotechnicy i ekolodzy mają odrębne interesy. Teraz też rozpoczęła się już walka o wielkie pieniądze, jakie Polska dostanie z Brukseli na pokrycie zniszczeń, więc i konflikt wybiera.

– *Powódź to suma wielu kropli deszczu, które spadły daleko od Warszawy. Hydrotechnicy starej generacji uważają,*

że trzeba je jak najszybciej przeprowadzić do ujścia. Ekolodzy – że trzeba tę kroplę jak najdłużej zatrzymać tam, gdzie spadła, że potrzebna naturalna retencja, począwszy od rolnika – wyjaśnia Nawrocki. Ekolodzy pilniej i szybciej się uczą niż urzędnicy. Potrafią czytać projekty, znają prawo.

– *Jeżeli organizacjom ekologicznym udaje się blokować projekt, to znaczy, że zawierał błędy, które dostrzegł sąd. Sąd nie analizuje merytorycznie projektu, bada wyłącznie jego zgodność z przepisami* – podkreśla Piotr Otawski, zastępca generalnego dyrektora ochrony środowiska w Ministerstwie Środowiska. Wydawałoby się, że sześć lat po wejściu do UE, gdzie już obowiązywała dyrektywa wodna (1997 r.), i trzy lata od wejścia unijnej dyrektywy powodziowej urzędnicy powinni to prawo znać i stosować. Problemy, blokowanie biorą się stąd, że urzędnicy próbują iść na skróty. Czym to grozi, pokazał przykład Rospudy.

Sieć Natura 2000: te chronione obszary przyrodnicze, wyznaczone zgodnie ze standardami i wymogami prawodaw-

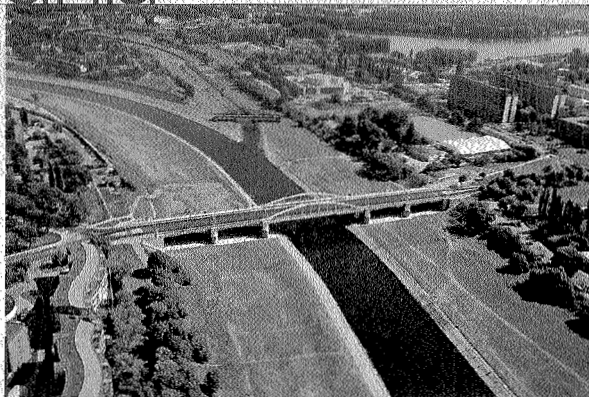
► stwa unijnego, też niespodziewanie okazały się zarzewiem konfliktu. Prezydent Warszawy ogłosiła, że program Natura 2000 utrudnia inwestycje przeciwpowodziowe, bo procedury, jakie narzuca, są trudne do wypełnienia. Chodzi m.in. o wycinanie roślinności wzdłuż Wisły i inwestycje na podlegających ochronie terenach. Ale przecież te standardy dobrowolnie przyjęliśmy, wstępując do Unii. Regulacje dotyczące środowiska naturalnego wchodzą w zakres traktatu ustanawiającego wspólnotę, są prawem pierwotnym, dyrektywy unijne są nadrzędne wobec naszego prawa. Nagle okazuje się, że nie potrafimy się dostosować do tych zasad. – *Hydrotechnicy zawsze byli przeciwko obszarom naturalnym w dolinach rzek, chroniącym ptactwo. Tymczasem procedury są klarowne: można zrealizować każdą inwestycję pod warunkiem, że projekt jest właściwie przygotowany* – powtarza Piotr Otawski.

Prawo wspólnotowe przewidziało takie sytuacje jak w Warszawie, gdzie jest obszar chroniony, i uwzględniło je. Dyrektywa unijna jasno precyzuje, że jeśli nie ma alternatywy, a w grę wchodzi nadrzędny interes publiczny, bezpieczeństwo czy zagrożenie życia ludzi – inwestycję można zrealizować, wybierając rozwiązanie, jakie najmniej szkodzi środowisku.

– *To, że nie udało się wyczyścić międzywala Wisły, jest winą inwestorów i urzędników. W Polsce nie obowiązuje liberum veto, lecz prawo i procedura, taka jak w innych krajach UE* – powiada minister środowiska prof. Andrzej Kraszewski.

– *W uregulowanej Wiśle dno obniżyło się o ok. 3 m, woda niesie jednak wiele zanieczyszczeń nawozami z pól. To sprawia, że na brzegach rośnie busz, który staje się siedliskiem lęgowym ptaków. Przyrodnicy chcą go chronić, hydrologowie – wyciąć w diabły. A tu trzeba dojść do kompromisu, na zimno. Można zlikwidować część roślinności, nie wchodząc w konflikt z prawem unijnym* – uważa dr Janusz Żelaziński, hydrolog. Choć w sprawie wycinki drzew nie ma pełnej zgodności także wśród specjalistów. Rzeczywiście, obecność roślinności między wałami pogarsza przepustowość rzeki, ale równocześnie spowalnia jej przepływ, co jest efektem pozytywnym. A to oznacza, że nie zawsze będzie lepiej, jeśli wytniemy drzewa i wykosimy trawę. – *Nie jestem zwolennikiem wygolenia całego międzywala, ale będę żądał jego wyczyszczenia* – mówi minister Kraszewski i dodaje: IMGW oblicza, według matematycznego modelu, że wycięcie roślinności obniżyłoby w Warszawie poziom wody maksymalnie o 15–20 cm.

– *Uważam, że jeśli jest się administratorem publicznym, powinno się mieć kwity*



Jak ochronić się przed powodzią? Trzeba odsunąć wały od rzeki, tworzyć poldery i zostawić rzece więcej swobody.

w porządku oraz odwagę decydowania. Za to płaci się pensje w administracji. A ekologów trzeba wysłuchać, przeanalizować ich argumenty, zastosować lepsze technologie.

Przemysław Nawrocki mówi, że obszary Natura 2000 są jak Wawel: nikt nie wpada na pomysł, żeby urządzić tam luksusowy hotel.

Zlikwidowanie tych obszarów w dolinach rzek oznaczałoby, że nie ma alternatywy dla ochrony przeciwpowodziowej. A przecież jest: choćby rozszerzenie wałów, tworzenie polderów, zostawienie rzece większej swobody.

Bobry? Zgładzić! Tak zinterpretowano wypowiedź szefa MSWiA min. Jerzego Millera, który ogłosił, że największym zagrożeniem dla wałów przeciwpowodziowych są bobrze rodziny. Zdaniem ministra, zwierzęta kopią nory, niszczą i destabilizują obwałowania. W wielu województwach, nie czekając nawet na koniec powodzi, po tej nagonce przystąpiono do polowania. Tymczasem wiedza na temat szkodliwej działalności bobrów jest niepełna i rozproszona. Badania prowadzili naukowcy, ale wyników, czarno na białym, nie przedstawiono. – *Nie ma dowodów, że którekolwiek przerwanie wałów nastąpiło z powodu działania bobrów* – przyznaje minister środowiska.

O tym, że bobry prowadzą swoje prace inżynierskie, budują domy, kanały, tamy, wiadomo od zawsze. Ale wiadomo również, że mają pozytywny wpływ na środowisko, a nawet przeciwdziałają powodzi, bo zatrzymują wodę, zwiększają retencję dzięki systemowi tam. Pomagają odtworzyć to, co zniszczył człowiek.

Jak mówi dr Andrzej Czech, twórca portalu bobry.pl, gdzie o bobrach i ich działalności oraz sposobach unikania szkód jest niemal wszystko, zwierzę ryje w wałach, które są usytuowane zbyt blisko wody. Bóbr nie mieszka na brzegu, czuje się tam niekomfortowo. Chce się schować, dlatego wejście do żeremi jest zawsze pod

woda. – *Gdyby wały były projektowane i budowane z zachowaniem prawideł sztuki, nie dochodziłoby do sytuacji, że bóbr tam zamieszkał* – mówi Andrzej Czech.

Zwierzę zaczyna też kopać, gdy pojawia się oczko wodne na odpoziwej stronie wału. Ale to wynik zaniedbania ludzi, bo oczko wodne na międzywale nie powinno się zdarzyć. Bobry dostosowują się wprawdzie do nowej sytuacji, ale wciąż rzadko osiedlają się na ruchliwych rzekach jak Wisła czy Odra, nie ma tu dla nich wiele miejsca ani jedzenia.

Z nagonki, wszczętej przez ministra Millera, śmieją się w Europie. Internetowe wydanie „Der Spiegel”

poświęciło sprawie spory komentarz. Belgowie zauważyli, że polski minister pomylił bobra z piżmakiem, który istotnie ryje nory w wałach. Europa wie, jak się przed gryzoniami bronić, zwłaszcza że bóbr jest objęty ochroną i to się raczej nie zmieni. Niemcy, Francuzi, Holendrzy wyposażają wały w specjalne siatki, uniemożliwiające działalność gryzoni. Stosowany jest pastuch elektryczny, który zwierzęta odstrasza. A przede wszystkim odsuwa się wały, nie tyle zresztą ze względu na bobry, lecz żeby dać rzekom więcej potrzebnej przestrzeni. Gdzie indziej zdali sobie sprawę, że ograniczenie bytowania bobra jest bez szans. – *Bóbr jest zwierzęciem terytorialnym, jeśli nawet wyeliminuje się całą rodzinę, to na jej teren wprowadzi się inna* – wyjaśnia Andrzej Czech. Piotr Otawski przypomina, że w ub.r. jego resort wydał – tylko w woj. kujawsko-pomorskim – około 250 zezwoleń na odstrzał bobrów. Wykonano zaledwie 60: myśliwi nie garną się do polowania na bobry, bo to działanie nieskuteczne, trudna sztuka i żaden pożytek. Choć przyznaje, że myśli się o zarządzaniu populacją, bo liczba zwierząt każdego roku rośnie o 12 proc.

– *Radykalnie rozwiązać sprawy gryzoni się nie da* – uważa Adam Jacewicz, hydrolog. Przypomina, że kiedyś istniała funkcja strażnika wałowego, który miał obowiązek doglądać urządzeń i naprawiać szkody. Dziś, praktycznie, wałami zarządzają z Warszawy urzędnicy i nie panują nad tym zadaniem. Gospodarka wodna jest w wielu rękach, a to kompetencji nie sprzyja. Tymczasem dyrektywy unijne wymagają zarządzania całą zlewnią. U nas to wciąż niemożliwe, bo granice zlewni nie pokrywają się z granicami administracyjnymi.

Są dyskusje, podchody, pomysły. Narodowa strategia gospodarki wodnej wciąż nie może ujrzeć światła dziennego. Winny jest człowiek, który źle gospodaruje wodą, ale powieszono bobra.

JAGIENKA WILCZAK